

Stefania Mściwujewska

MUSZYNA DA SIĘ LUBIĆ...

Muszynę poznałam jako małą dziewczynka, przyjeżdżając z Tarnowa z rodzicami do wujków, którzy wtedy mieszkali właśnie tutaj. Kiedy miałam już około siedmiu lat, rodzice przywozili mnie do wujków i zostawiali w Muszynie na lato. Wujkowie nie mieli własnych dzieci i cieszyli się, kiedy zjawiałam się u nich w porze wakacyjnej. Byłam chrzestną córką ciotki i otrzymałam jej imię – Stefania, natomiast mój brat był chrześniakiem wujka i również dostał jego imię – Zygmunt.

Dr Zygmunt Syguliński w czasie I wojny światowej służył w armii austriackiej; wedle tradycji rodzinnej podczas działań wojennych uległ zatruciu gazem bojowym, a ponieważ długo nie było od niego żadnej wiadomości, został uznany za zaginionego.



Sędzia dr Zygmunt Syguliński
(1893-1947)

W czasie wojny polsko-bolszewickiej brał udział w obronie Przemyśla (do Lwowa nie zdołał dotrzeć). Skończył prawo; w Muszynie zajmował stanowisko naczelnika Sądu Grodzkiego. Razem z ciotką mieszkali w nieistniejącym już „domku sędziów” koło budynku sądowego (później mieściła się tam przychodnia lekarska, izba pamięci i parę innych instytucji).

Wujkowie chętnie pracowali społecznie, często brali udział w różnych muszyńskich uroczystościach. Oboje byli członkami PCK, wujek był także prezesem miejscowego oddziału Ligi Morskiej. Przypadające w sierpniu Święto Morza bardzo przeżywał i nawet

mnie angażował do przygotowywania jego obchodów. Jednym z punktów programu były występy w restauracji „Adria”; wujek napisał nawet wiersz, który deklamowałam w trakcie tej imprezy. Organizował również uroczystości na cześć Marszałka Piłsudskiego, a przede wszystkim zaangażowany był w działalność Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR).



Wujostwo z przyjaciółmi przed „domkiem sędziów” (lata 30.)

Niestety byłam wtedy za młoda, by docenić i do końca zrozumieć społecznikowskie pasje wujostwa, stąd niewiele szczegółów zostało mi do dziś w pamięci. Nie sposób jednak zapomnieć faktu, że wujek bardzo kochał Muszynę. Opowiadał mi jej historię, pokazywał najpiękniejsze zakątki, często zabierał nad Poprad i „woził” kajakiem. Poprad był czysty i przejrzysty, a kąpiel cudowna, niczym w wannie z wodą mineralną. Na dużej plaży stały kosze i leżaki, a nieopodal znajdowała się muszla koncertowa, gdzie można było posłuchać muzyki i potańczyć.



Na ławeczce nad Popradem (lata 30.)

Ciocia Stefania, zwana poufale Fuńcią, zabierała mnie często w odwiedziny do znajomych. Pamiętam, że odwiedzałyśmy razem na plebanii chorego proboszcza, księdza Józefa Gawora, a także zakonnice mieszkające koło kościoła. Bywałyśmy też z wizytą u znajomych cioci, na przykład u pani Heilman, pani Żółkiewicz, pani Oster, pani mieszkającej w „Szwarcówce” i innych. Znajome, które miały dzieci, chętnie wyrażały zgodę na moje wizyty i wspólne zabawy. Dużo takich dzieciennych spotkań miało miejsce w budynku nadleśnictwa (patrz fotografia).



Z koleżankami w ogrodzie nadleśnictwa. Autorka trzecia od lewej

W Domu Zdrojowym odbywały się koncerty, zabawy, na które wujkowie z przyjemnością chodzili, wystawiane były także sztuki teatralne. Czasem w domu wujków były próby; pamiętam grającą pięknie na fortepianie ciocię i śpiewającą do jej akompaniamentu panią Jankę Peszkowską z „Naszego Domku”. Ciocia ponadto uczyła dziewczynki gry na fortepianie.

Ostatnie wakacje przed wybuchem II wojny światowej spędziłam u wujków razem z moim bratem. Miałam wtedy już 12 lat, więc mogłam śmiało brać udział w wielu górskich wycieczkach. Pamiętam wyprawy górami do Żegiestowa, na Jaworzynę, Malnik, Zimne i te krótsze, spacerowymi trasami, na Koziejówkę i – wielokrotnie – na Basztę. Często jeździliśmy do Krynicy na koncerty odbywające się na deptaku. Do dzisiaj pamiętam cudowny smak tego lata...



Autorka artykułu z bratem Zygmuntem i Stefanią Sygulińską w Krynicy (lato 1939 r.)

Po wybuchu wojny ciocia dała nam znać, że wujek został zmobilizowany jako major artylerii i brał udział w walkach z Niemcami. Dostał się do obozu jenieckiego w Niemczech. Ciocia ponoć starała się o jego uwolnienie, uzasadniając prośby służbą wujka w wojsku austriackim w czasie I wojny światowej. Po powrocie z niewoli wujek znowu podjął pracę w muszyńskim Sądzie.

O jego postawie w tym czasie niech świadczy zachowany w archiwach protokół z pierwszego posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej, odbytego w Muszynie w dniu 22 stycznia 1945 roku. Odnotowuje on podziękowania i wyrazy uznania za obywatelskie zachowanie się podczas okupacji niemieckiej, skierowane do Zygmunta Sygulińskiego, a także Michała Witowskiego, Stanisława Olszowskiego, Edwarda Skowrońskiego oraz księdza Kazimierza Zatorskiego. Jak stwierdzono w protokole, ludzie ci – w warunkach nader ciężkich – potrafili zachować godność Polaka i człowieka.

W roku 1947 zdałam maturę z bardzo dobrym wynikiem. Zadowolony wujek zaprosił mnie znowu na wakacje do Muszyny. Tymczasem na muszyńskiej stacji (Muszyna miasto) 23 czerwca przywitano mnie smutną wiadomością o nagej śmierci wujka (zmarł podczas pracy w Sądzie). Żona notariusza z „Romanówki” zaopiekowała się mną, a potem zaprowadziła do domu wujków. I ona, i inne osoby bardzo pomogły ciocie

w przeżyciu tej tragedii. Wujek był jeszcze dosyć młody (miał 54 lata) i silny – nikt z rodziny nie przewidywał tak szybkiej jego śmierci. Pogrzeb odbył się w Muszynie, a wujek spoczął na parafialnym cmentarzu przy kościele św. Józefa. Ciocia w jakiś czas potem wyszła powtórnie za mąż i wyjechała z Muszyny, jednak do końca jej życia utrzymywałyśmy kontakt.

W rok po śmierci wujka wyszłam za mąż za Kazimierza, syna doktora Seweryna Mściwujewskiego, którego zresztą poznałam sporo wcześniej niż mojego męża. Stało się to za przyczyną przygody w Popradzie, kiedy to „uszkodziłam” sobie nogę (miałam wtedy 9 lat), a doktor udzielał mi medycznej pomocy. Pamiętam, że żartował sobie wtedy, że chciałby mieć mnie za synową. Jego żonę, Wandę, także poznałam jeszcze przed okupacją, ponieważ przyjaźniła się z ciocią Fuńcią i bywały u siebie. Ojciec mojego męża zmarł w 1944 roku, natomiast jego matka doczekała naszego ślubu i wnuków (zmarła w roku 1967).

Tak więc znowu związałam się z Muszyną i byłam tym zachwycona. Czułam się naprawdę szczęśliwa, przyjeżdżając z mężem do „Wandy”. Sporo chodziliśmy po górach – na wycieczki, czasem na grzyby czy na borówki. Najpierw sami, potem z dwójką naszych dzieci, Bożeną i Sewerynem, które od urodzenia spędzały tu niemal wszystkie wakacje, z zachwytem witając każdy wyjazd do Muszyny, do babci Wandy.



Dzieci na plaży nad Popradem - czyżby z psem Władysława Murzyna?
(Wszystkie fotografie z archiwum autorki)

Wiele godzin spędzaliśmy z nimi nad Popradem, często kąpiąc się w jego nurtach (wtedy jeszcze czystych!), mimo że nierzadko kamieniste dno zostawiało bolące ślady na dziecinnych nóżkach. Dzieci i tak uwielbiały te kąpiele. Ulubionym celem rodzinnych spacerów były stare łaźienki za Popradem; można się tam było napić pysznej wody mineralnej, posiedzieć na ławeczce i pogawędzić ze znajomymi. Dzieci bawiły się w ogródku, pięknie utrzymanym przez ogrodnika, pana Trełę. Łazienek od dawna już nie ma, ale na szczęście zbudowano nową pijalnię „Antoniego” i „Wandy” (matką

chrzestną tego źródła była moja teściowa Wanda – stąd jego nazwa). Wszyscy lubiliśmy zawsze muszyńską wodę; do dziś często ją piję, chociaż mieszkam w Krakowie. Po prostu kupuję „Muszyniankę”...

Łazienki zapopradkie często odwiedzaliśmy w niedzielę. Niedziela to oczywiście także msza św. w kościele parafialnym i tradycyjne odwiedziny na cmentarzu, gdzie z roku na rok przybywa „znajomych” grobów. Modliliśmy się przede wszystkim przy grobach rodzinnych, ale także i przy mogiłach muszyńskich proboszczów – ks. Gawora, potem ks. Piecha, wspominając przy okazji ciepło ks. Kazimierza Zatorskiego, który opuścił Muszynę w 1956 roku (zmarł parę lat temu).

Mój mąż zmarł w 1968 roku, w stosunkowo młodym wieku, a dzieci wcześniej zostały sierotami. Przeżyliśmy wtedy bardzo smutny okres. Córka była tuż przed maturą, syn w szkole podstawowej. Oboje skończyli studia z bardzo dobrymi wynikami. W parę lat później władze Muszyny podjęły decyzję o rozbiórce domu „Wanda”, który znajdował się po wojnie pod przymusowym zarządem państwa i był administrowany kolejno przez „Orbis”, Wojewódzką Radę Narodową, a w końcu przez Fundusz Wczasów Pracowniczych. Na szczęście władze powiatowe w Nowym Sączu unieważniły tę decyzję. Dzięki temu dom przetrwał do dzisiaj i teraz – po remoncie – prezentuje się wspaniale, zachowując przy tym dawny styl.

Córka z rodziną na stałe mieszka w Warszawie, syn z rodziną w Krakowie. Spotykamy się w Muszynie każdego lata. Nadal mam kontakt z wieloma mieszkającymi tu osobami. Sympatią do Muszyny zaraziłam parę osób. Na przykład moje szkolne koleżanki z Tarnowa, Iza i Basia, przyjeżdżały tu przez wiele lat, najpierw same – jako młode dziewczyny, później z dziećmi, jeszcze później z wnukami. Do dziś odwiedzają Muszynę, potwierdzając prawdę, że trudno z niej zrezygnować, jeśli choć raz się tu było...

Kiedy chodzę po tak znajomych spacerowych ścieżkach lub patrzę przez okno „Wandy” na Poprad, przypominam sobie całą moją, blisko siedemdziesięcioletnią, przyjaźń z Muszyną. Wciąż podziwiam te wspaniałe góry, lasy i rzeki. Czują się prawie muszynianką, bo dużą część życia spędziłam w Muszynie i przywiązałam się do niej.



Willa dra Seweryna Mściwujewskiego – lata 30.